

# Narracje wyobcowanej. O prozie Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej - część 2.



Janina Surynowa-Wyczółkowska, San Juan, Argentyna, 1974 r., fot. Archiwum Emigracji w Toruniu.

**Jolanta Pasterska** (*Uniwersytet Rzeszowski*)

W powieści *Jesień Gringi* zauważamy także kolejne odstępstwo od stereotypu. Jest ono związane z macierzyństwem. Matka pięciorga dzieci, w tym jednego niepełnosprawnego, początkowo odbiera bycie rodzicielką jako naturalną powinność kobiety. Pod wpływem potomstwa i emigracji jej pogląd na macierzyństwo zmienia się. Po pierwsze dzieci wcale nie chcą być chowane pod matczynym kloszem (bohaterka chciała, by żyły z dala od wojen i totalitaryzmów), ale wyruszają w świat, są wolne i pragną podróżować (w powojennej ojczyźnie byłoby to niemożliwe). Rodzi to w bohaterce sagi z jednej strony poczucie właściwego wyboru miejsca zamieszkania, ale i osamotnienie: „Zostałam sama. Tęskniłam za nimi” (JG, s.145) – przyznaje Teresa. Przeniesienie niespełnionych marzeń własnych na potomstwo

wcale go nie uszczęśliwia. Po wtóre, poświęcenie się wychowaniu dzieci spowodowało odłożenie własnych aspiracji i ambicji na plan dalszy. To ogrywanie roli matki nie niesie satysfakcji, ale rozczarowanie.

Janina Surynowa-Wyczółkowska chce powiedzieć, że kulturowe i społeczne ramy ograniczają wolność wyboru, nie pozwalają się cieszyć pełnią życia. Jej bohaterka jest szczęśliwa tylko wówczas, gdy o nich zapomina. Ale już młode pokolenie (jej dzieci i wnuki) narzuconej im roli społecznej nie przyjmuje[14].

Wyczółkowska kreuje osobliwą przestrzeń, w której ściera się egzotyka i obcość z polskimi powinnościami. Mimo że tradycyjnie jej bohaterka anektuje przestrzeń domową i występuje przede głównie w roli matki i żony (gospodyni domowej), to autorka powieści przypisuje jej jeszcze jedną rolę. Dzieci powodują, że Gringa staje się łącznikiem pomiędzy polskością a lokalnością. Swoistym pomostem pomiędzy oboma kulturami: kraju rodzinnego i kraju zamieszkania. Właśnie na takiej zasadzie funkcjonuje ona w obszarze społecznym. Na emigracji przestrzeń domowa nie gwarantuje już spełnienia się w wyznaczonej przez patriariat roli. Znaczenie domu – ostoji rodziny, tradycji, patriotyzmu, na uchodźstwie stopniowo zanika. W tym kontekście symbolicznego znaczenia nabiera sprzedaż dworku, owej „polskiej idylli”, która na obczyźnie idyllą być przestała.

Tym próbom adaptacji towarzyszą nieustanne tarcia i konflikty. Mimo że autochtoni są opisywani przez Teresę jako ludzie otwarci, gościnni to zawsze są przez nią postrzegani jako obcy, odmienni. Kwintesencją wieloletniej współegzystencji z miejscowymi może być dialog Teresy z argentyńską znajomą:

*Cóż? Ty jesteś bardzo biała, a ja ciemna. Widocznie dlatego nie możemy się zrozumieć (JG, s.214).*

Takie napięcia wyczuwane są także w kręgu rodziny. Mąż i jego rodzice, a także dzieci mają za złe matce otaczanie się polskimi „reliktami” i tkwienie w przeszłości. Jej polskie sentymenty, tęsknoty, wspomnienia uchodziły w ich oczach za dziwactwo. Dlatego Gringa pozostaje najchętniej w otoczeniu Polaków, służącej Katarzyny i wujcia – majora Jankowskiego. Ich wspomnienia, kultywowana tradycja tworzą namiastkę klimatu polskiego, ale także nie pozwalają przełamać obcości, powodują

zamknięcie się w polskim getcie. Upływ czasu nie złagodzi tego odczucia. Wspomnienia Gringi mimo że nie posiadają formy typowo wspomnieniowej są utkane z autopsji autorki, z życia podzielonego na dwie nierówne, jak się okazuje. połowy - argentyńskiej egzystencji, która toczyła się w cieniu wspomnień „polskiej wierzby”. Kraj osiedlenia to obszar, na którym tożsamość polska jest nieustannie poddawana próbie. Ten tożsamościowy sprawdzian jest także widoczny w relacjach drugoosobowej narratorki i autorki. Doświadczenia wygnania wydają się tu być wspólne. Wojciech Ligęza zwraca uwagę, że:

*Między monologującym podmiotem autorskim a bohaterką przeskakują iskry porozumienia, ustala się pewna wiedza wspólna na temat doświadczenia obcości, na jaka napotyka Pola w Argentynie (...) Narratorka mówi do „Gringi” oraz w imieniu Gringi. Prawa introspekcji niekiedy są w tej powieści nadużywane. Jednak taka konstrukcja nie wyklucza porozumienia ze „zwykłymi czytelnikami” [15].*

Obczyzna służy tu raczej samopoznaniu niż wymianie ciosów ze środowiskiem emigracyjnym (jak w przypadku Gombrowiczowskiej strategii). Natomiast formuła listu-pamiętnika, w jakiej utrzymana jest powieść, umożliwia narratorce-bohaterce nabranie dystansu wobec opisywanych zdarzeń[16]. Starając się wyjaśnić motywy własnego postępowania i zrozumieć wyzwania zmieniającej się rzeczywistości, dokonuje ona zarazem głębokiego przewartościowania światopoglądu i surowego osądu spuścizny romantycznej. I choć nie odrzuca zupełnie dawnych idei, to stara się z nich wybrać tylko to, co rzeczywiście niezbędne w nowej sytuacji egzystencjalnej. Surynowa-Wyczółkowska, podążając drogą wyznaczoną przez Gombrowicza, opisuje w powieści nieustanny konflikt człowieka ze światem. W tym starciu każdy jednostkowy wybór decyduje o losie człowieka, ale rodzi też rozterki związane z polskością. Warto zwrócić uwagę, że ostatnia część sagi niesie ze sobą odmienną poetykę. Dotąd Surynowa-Wyczółkowska sięgała po tradycyjną powieść obyczajową, w *Jesieni Gringi* zaś dominują fragmenty wspomnień i refleksji na temat minionych lat. Składnia jest urywana, oszczędna, oddająca zmęczenie życiem „Ja z Jose Marią przy szoferze. Zatrzaszkiwanie drzwiczek (...) Sprzedaliśmy dom. Koniec. Szlus” (JG, s.133).

Wspomnienia Wyczółkowskiej to z jednej strony szczególny pamiętnik wyobcowania,

z drugiej zaś to ślad „wgrzyzania się” w nową „cudzoziemską ojczyznę”, w Argentynę i walka o swoją kobiecą podmiotowość, o realizację własnych ambicji.

Kobiece bohaterki prozy Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej to postacie wyobcowane, samotne, z dotkliwym poczuciem Inności. Mimo podejmowanych prób nie potrafią przystosować się do nowych obyczajów i egzotycznej kultury. Ale narracje te przede wszystkim opowiadają o samotności kobiety w kręgu bliskich, w rodzinie. To doświadczenie najbardziej dokucza, bo różnice kulturowe uniemożliwiają bliskość z mężem, z dziećmi. Czas nie leczy tutaj z wyobcowania, ale je pogłębia. Nieziszczane marzenia, zawiedzione plany zawodowe, a nawet zaburzone role społeczne, które pozwalały choć w tym domowym wymiarze się spełnić, wpędzają w depresję i poczucie bezsensu istnienia. W emigracyjnym zestawie „męskich” tematów” proza Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej choć przecież także uwarunkowana historycznymi wydarzeniami, wydobywa mikrohistorie kobiet z niebytu. Pokazuje tym samym mniej heroiczną, choć równie tragiczną postać wygnania.

## **Część 1:**

---

[14] O samotności bohaterki prozy Surynowej-Wyczółkowskiej pisze Marcelina Janisz. Zob.: tejże, *Zagubiona, samotna, zbuntowana – portret emigrantki w prozie Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej*, (w:) *Filologiczne konteksty współczesności. Wyzwania literatury i języka w XX/XXI wieku*, red. Z. Czapiga, J. Pasterska, M. Kołodziej, V. Ciećko, Rzeszów 2013, s.102-115.

[15] W. Ligęza, *Doświadczenia latynoamerykańskie we współczesnej literaturze polskiej* (w:) *Emigracja. Polonia. Ameryka Łacińska. Procesy emigracji i osadnictwa Polaków w Ameryce Łacińskiej i ich odzwierciedlenie w świadomości społecznej*, red. T. Paleczny, Warszawa 1996, s. 152.

[16] Taki zabieg jest często obecny w prozie emigracji powojennej (na przykład w powieściach Kościałkowskiej, Mostwin, Nowakowskiego, Haupta). Jak dowodzą znawcy problemu, taki kształt utworu świadczy o przyjęciu strategii

autobiograficznej. Zob. J. Smulski, *Autobiografia jako postawa i jako strategia artystyczna. Na materiale współczesnej prozy polskiej*, „Pamiętnik Literacki” 1988 z. 4; Cz. Niedzielski, *O teoretycznych tradycjach prozy dokumentarnej (Podróż - powieść - reportaż)*, Toruń 1966.

---

### **Część 1:**

<https://www.cultureave.com/narracje-wyobcowanej-o-prozie-janiny-surynowej-wyczol-kowskiej-czesc-1/>

Pierwodruk: *Gringa - narracje wyobcowanej (Janina surynowa-Wyczółkowska)*, w: Jolanta Pasterska, *Emigrantki, nomadki, wagabundzki. KobiECE narracje (e)migracyjne*, Rzeszów, 2015, s. 35-50

---

# **Narracje wyobcowanej. O prozie Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej - część 1.**





Janina Surynowa-Wyczółkowska, fot. Archiwam Emigracji w Toruniu.

**Jolanta Pasterska** (*Uniwersytet Rzeszowski*)

Lektura prozy Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej nie pozostawia wątpliwości, że głównym problemem nurtującym pisarkę była kwestia wyobcowania i wygnania, zaś obiektem literackiego zainteresowania stała się kobieta[1]. Wniosek ten potwierdza wczesna, przedwojenna twórczość autorki *Gringi*. Zwróćmy uwagę na wiele mówiące i jednoznaczne w swojej wymowie tytuły powieści: *Ambicje Weroniki* (Warszawa 1935), *Warszawianki* (Warszawa 1935), *Egoizm we dwoje* (Warszawa 1937), *Jego kobiety* (Warszawa 1937), *Kobiety i basta!* (Warszawa 1937), *Płaszcz na dwóch ramionach* (Warszawa 1937), *Panna Florcia* (Warszawa 1939), *Świat zamknięty na klucz* (Warszawa 1939). Wymienione powieści zaliczane przez badaczy do literatury obyczajowej, uzmysławiają, że Surynowa-Wyczółkowska już przed wojną poruszała

tematy wówczas przemilczane (tabu): jak seksualność (kobieca), aborcja, prostytutka; umiejętnie wpisując (przemycając?) je w utrwalony w literaturze popularnej schemat kobiety - matki, a więc afirmujący jej tradycyjną rolę społeczną[2]. Po wojnie pisarka wyemigrowała do Argentyny i tam ponownie powróciła do interesujących ją zagadnień. W sadze *Teresa dziecko nieudane* (Londyn 1961), *Gringa* (Londyn 1968) i *Jesień Gringi* (Londyn 1976) los kobiety wpisuje w los wygnańca. Narratorka sagi zanim osiadła w Argentynie doświadczyła traumatycznych przeżyć związanych z utratą bliskich (śmierć matki), przemocy fizycznej i psychicznej (gwałt), poniżenia. Kobiece narracje o wygnaniu i wyobcowaniu (które z tego wygnania po części wynika) różnią się od „mitu” męskiego wygnania. Samo słowo „wyznaniec” nie ma przecież żeńskiego odpowiednika zaświadczać tym samym o męskiej jego realizacji. Inność, obcość wpisana w los wygnańca jest inaczej ujmowana w literaturze tworzonej przez mężczyzn. Bożena Karwowska słusznie zauważa, że męskie narracje zdominował pierwiastek intelektualny, wygnanie (w twórczości Gombrowicza czy Miłosza) dotyka indywidualistów, geniuszy zafrapowanych własnym rozwojem i twórczością[3]. Kobiece opowieści traktujące o wyobcowaniu wpisują się w schemat matki, na której spoczywa odpowiedzialność za ciągłość rodziny, dbałość o kultywowanie tradycji narodowej, patriotycznej przez kolejne pokolenia dzieci wychowanych z dala od ojczyzny.

Pisarki emigrantki, tak jak Wyczółkowska, które przeżyły wojnę, okupację i powojenną tułaczkę, nadały literacki kształt tym doświadczeniom. Wiele z powojennych utworów nosi w sobie znamiona autobiografizmu i choć pewnie nie zawsze ta kategoria ma istotne znaczenie dla interpretacji, to w przypadku autorki *Gringi* warto na nią zwrócić uwagę, gdyż pod płaszczykiem fikcji przemycane zostają tu problemy, o których ze względów kulturowych czy społecznych nie wypadało otwarcie mówić. Mam tu na myśli kwestie zasadności udziału w powstaniu warszawskim, odczucia zgwałconej dziewczyny, (*Teresa dziecko nieudane*), zachowania Polaków w obozie dla dipisów, postawy rodaków dorabiających się na wojnie (*Gringa*), samotność w rodzinie (*Jesień Gringi*).

Surynowa-Wyczółkowska dając literackie świadectwo wyobcowania sięga do jego źródeł, które tkwią w traumatycznych przeżyciach wojennych bohaterki jej prozy. To one wpłynęły na późniejszą sytuację, sposób bycia i zachowania bohaterki sagi.

Gwałt, który przeżyła odciśnie piętno na jej dorosłym życiu i relacjach z mężem. Kapryśna i zbuntowana nastolatka w jednym momencie dojrzewa, staje się jeszcze bardziej krytyczna w stosunku do świata, do najbliższych i wyznawanych dotąd idei. Podłożem tego buntu jest przecież także przedwojenne romantyczno-patriotyczne wychowanie.

Z takiej właśnie perspektywy ocenia romantyczną spuściznę Teresa - bohaterka powieści *Teresa dziecko nieudane* Janiny Surynowej Wyczółkowskiej[4]. Jest to postać, która łączy w sobie zarówno cechy romantyczne, jak i „antyromantyczne”, co pozwala jej z optymizmem stanąć do konfrontacji z rzeczywistością. Zachowaniem bohaterki kieruje młodzięńczy i niedojrzały bunt skierowany przeciw narzuconym przez tradycję wzorcom postępowania. Jej pierwszym adwersarzem jest matka, której zachowanie wzbudza w Teresie irytację. Młoda bohaterka powieści nieustannie zarzuca jej nadmierną ufność w patriotyczne frazesy, a także narażanie siebie i rodziny na niepotrzebne ryzyko. Z przedstawianej historii wyłania się stopniowo autoportret Teresy:

*Teraz dopiero zrozumiałam z jakim rozczarowaniem mama musiała przyglądać się własnej córce, która tylko gotowała kartoflanę, kuła czasowniki angielskie, przygotowywała maturę i ani myślała o patriotycznej robocie! A ja słyszeć nie chciałam o tym, aby mnie badano i bito na Gestapo, jak ciotkę Fafę, i nie miałam zamiaru „złożyć życia na ołtarzu ojczyzny” (TDN, s, 18).*

Nastoletnia bohaterka deklaruje z przekonaniem, że jest racjonalnym, pozbawionym romantycznych mrzonek człowiekiem, „gwiżdżącym na ideały, pacyfizmy i inne <izmy>” (TDN, s.14). Obserwacje codziennych zmagania Polaków z hitlerowskim okupantem stają się dla niej okazją do prowokacyjnych oskarżeń rodaków o „nierozumny”, „oszałały” polski patriotyzm, polski romantyzm, nakazujący apoteozowanie cierpienia. Takiej postawie przeciwstawia zachowania Francuzów i Czechów, którzy zawarli z Niemcami kompromis i rozsądnie nie narażali swojego życia. Zmianę zachowania i rewizję poglądów bohaterki Wyczółkowskiej przynosi dopiero śmierć matki, a także osobiste doświadczenie okrucieństwa (tj. gwałtu dokonanego przez własowców). Szacunek, jaki okazują zmarłej zupełnie nieznanymi ludziami, zmusza Teresę do zastanowienia i w konsekwencji do zmiany dotychczasowej



oceny działalności konspiracyjnej matki. To przeobrażenie „szczęścia”, jak metaforycznie mówi o sobie bohaterka, jest tym boleśniejsze, że dokonuje się wraz z demaskowaniem wyidealizowanego obrazu ojca. Jego życie jest niejako odwrotnością życia matki i jednocześnie realizacją postawy, którą początkowo nieświadomie naśladowała młoda Teresa. „Kochające się w złudzeniach” środowisko matki, jak je określa Teresa, przeciwstawione zostało gromadzie cwaniaków i dorobkiewiczów. Zatem ton kpiny i buntu, w jakim rozpoczęła swój pamiętnik bohaterka Wyczółkowskiej, ustępuje ostatecznie dojrzałości i współtworzy psychologiczne studium dojrzewającej dziewczyny. Postawa narzucana przez matkę nie okazała się ciasnym ograniczeniem, ale dobrze „skrojonym” światopoglądem, w którym dojrzała już bohaterka potrafiła się bez trudu odnaleźć. Już odtąd stale towarzyszyć jej będzie ten niechciany, romantyczny kodeks. A ona sama czy to w obozie dla dipisów, czy w Paryżu, Londynie lub Buenos Aires, wszędzie tam, gdzie przyjdzie jej podejmować ważne decyzje, ze zdumieniem odkryje, że kieruje się właśnie wskazówkami matki i jej wzniosłymi słowami o wolności, romantyzmie i zapale do pracy:

*Zdawało mi się - zauważa Teresa - że ten cały nudny patos od dawna w mojej pamięci zaginął. Jednak teraz stojąc pod oknem odnajdywałam go. [...] Miałam wrażenie, że mama zwyciężyła mnie w chwili swej życiowej klęski. I to było dziwne. Paradoksalne. Niezrozumiałe (TDN, s.82).*

Ta niejasność sytuacji budzi w bohaterce bunt, ale i dumę. Bowiem antynomiczność odczuć pozostała trwałym składnikiem jej psychiki. Pamięć o matce i wpajaniem przez nią patriotycznym wychowaniu towarzyszy jej również w obserwacji emigracyjnego życia. Teresa przy każdej okazji więc poddaje ocenie przejęte idee. Na przykład, gdy poirytowana obserwuje rodaków w tymczasowym obozie dla dipisów.

*Psiakrew... Na czym to się skończyło to polskie bohaterstwo? - pyta rozgniewana - Na wyjedzeniu konserw z tysięcy puszek! Na zalewaniu patriotycznego robaka bimbrem pędzonym po kryjomu! Na rozproszeniu po świecie! Na miłości do młodych dziewczyn, które trzeba było porzucić. Na tęsknocie za spokojnym życiem i sprawiedliwością (TDN, s.184).*

Jednak przy pierwszej nadarzającej się okazji, wbrew zakazowi ojca, bierze udział w patriotycznym spotkaniu z wybitnymi polskimi dowódcami: Władysławem Andersem, Tadeuszem Borem-Komorowskim i Stanisławem Kopańskim. Spotkanie wywołuje takie same uczucia, jak te kierowane do matki: podziw i złość. Bohaterka jest dumna z odwagi dowódców, podziwia ich waleczność, ceni przymioty wodzowskie, ale jednocześnie irytuje ją brak intuicji politycznej generałów oraz przejawiany przez nich prymat entuzjazmu nad rozsądkiem. Poświęcenie i śmierć tysięcy żołnierzy było – według bohaterki Wyczółkowskiej – niepotrzebne, bo Europa szybko zapomniała o bohaterstwie Polaków. Ambiwalencję uczuć młodej dziewczyny podkreśla także scena spotkania z przyjaciółmi, gdy Teresa nie znajduje zrozumienia dla zachowania niedawnych bohaterów Powstania Warszawskiego, którzy na uchodźstwie zerwali z patriotycznym etosem i przemienili się łatwo w emigrację zarobkową.

Romantyczny paradygmat warunkuje także życie uczuciowe bohaterki. Nawet jej miłość okazuje się niespełniona i tragiczna, gdyż na przeszkodzie staje najpierw rozłąka i niecne kłamstwa ojca, a potem pełen rezygnacji powrót ukochanego do zajętego przez komunistów kraju.

W czasie podróży po świecie Teresa dojrzewa i nabiera dystansu do wielu osobistych spraw. Wybierając pomiędzy pragmatyzmem ojca i romantyzmem matki, stara się znaleźć jakieś trzecie wyjście, które umożliwi jej „bycie człowiekiem a nie zwierzęciem” (TDN, s.302). Mimo prób zerwania z romantycznym dziedzictwem zdaje się być od niego uzależniona. Ono zaciąży nad dalszym jej życiem.

*Jesień Gringi* Surynowej-Wyczółkowskiej to najbardziej nasycona autobiograficznie część cyklu poświęconego emigracyjnym losom bohaterki, *alter ego* samej autorki. Jak słusznie zauważa Katarzyna Lachowicz:

*Ponieważ losy autorki i tytułowej Gringi są w wielu miejscach zbieżne, można domniemywać, że kryją się w powieści przeżycia, sytuacje, typy ludzkie, detale, które poznała Janina Surynowa-Wyczółkowska w bezpośrednim doświadczeniu kobiety, intelektualistki, emigrantki[5].*

Nie jest to zatem wspomnienie w tradycyjnym rozumieniu, to raczej, jak pisze Wacław Lewandowski, „gatunek pograniczny”, w którym materiał wspomnieniowy

miesza się z fikcją literacką[6]. O takim poszukiwaniu nowych sposobów opowiadania przekonuje również Wojciech Ligęza. Badacz zauważa, że:

*Przenikają się tutaj różne perspektywy narracyjne, a podmiot ulega rozszczepieniu, kiedy „ja” autorskie prowadzi dialog z bohaterką, posługuje się dwoma perspektywami po to, by negocjować z postacią powieściową właściwą wersję wydarzeń[7].*

Kompozycja ostatniego cyklu sagi przypomina beletryzowany pamiętnik, w którym pojawiają się krótkie sceny połączone osobą narratorki. To Teresa jest przewodniczką nie tyle po nowym kraju osiedlenia, raczej opowiada o historii człowieka wyobcowanego. Odnajdujemy tu zarówno refleksje dotyczące konkretnego, jednostkowego emigracyjnego doświadczenia, ale i doświadczenia emigracji w ogóle [8]. Przyjmując takie założenia można *Jesień Gringi* rozpatrywać jako zbiór refleksji odnoszących się do miejsc, ludzi i ich wewnętrznych odczuć związanych z życiem poza granicami ojczyzny. Na obraz argentyńskiej emigracji składają się opisy krajobrazu, środowiska emigrantów i społeczeństwa nowego kraju osiedlenia. Przyroda odgrywa tu istotną funkcję. Na jej tle bowiem dochodzi do zderzenia dwóch rodzajów świadomości: Polaka-emigranta i Argentyńczyka-cudzoziemca. Temu rozbiciu tożsamości towarzyszą skrajne uczucia tęsknoty za ojczyzną, za „maleńkim krzaczkiem niezapominajek” i budzącej niepokój fascynacji argentyńskim pejzażem określanym jako „rozkwitłe szaleństwo egzotycznej jacarandy”[9].

Argentyna Surynowej-Wyczółkowskiej to kraj właśnie takiej rozbuchanej, nieokiełznanej przyrody i ukrytych w niej żywiołów, obcych i przerażających przybysza z Europy Środkowej[10]. Jednym z takich żywiołów jest trzęsienie ziemi, którego gwałtowność i skala zniszczeń wprawia w zaskoczenie. Natychmiast jednak krajobraz spustoszenia i ruin, jaki po sobie pozostawiło, implikuje obraz zburzonej Warszawy. Ojczyzna i obczyzna nieustannie będą się już przeplatać. W przestrzeń miasteczka (najpewniej chodzi o San Juan), w którym żyje tytułowa Gringa wpisują się Andy, nazywane przez bohaterkę Kordylierami (termin *Kordyliery* obejmuje również południowoamerykańskie Andy). Olbrzymi masyw górski to jedne z pierwszych wrażeń, jakie odnotowuje Gringa po przybyciu do Argentyny:

*Widziałam góry u wylotu ulicy. Białe w szafirowe niebo. Codzienne inne. Różowe, porysowane czarnymi cieniami. To znów granatowe. Albo rozpylone we mgłach, ledwo widoczne (JG, s. 47).*

Jednak zachwyty argentyńskim pejzażem dochodzi do głosu sporadycznie. Gdy przebywa do Argentyny ktoś z Polski (np. ciotka Fefa), Teresa chce pokazać najpiękniejsze zakątki nowego kraju, pragnie w przybyszu wzbudzić zachwyty Argentyną. Ale nie o rodaka tu chodzi. Jest to raczej rodzaj autoterapii, Gringa, stara przekonać samą siebie, że warto żyć w Argentynie. To poczucie wewnętrznego rozdarcia będzie zawsze towarzyszyło bohaterce Surynowej. Widok Kordylierów, wybujałej roślinności, bezkresnych równin fascynuje, ale i zwiłokrotnia poczucie obcości. Dlatego pojawiają się próby zaadaptowania nowej rzeczywistości poprzez przetransponowanie ojczywych wzorców w przestrzeń własnego domostwa i rodziny. Bohaterka Surynowej-Wyczółkowskiej nieustannie poszukuje w obcym pejzażu znanych sobie elementów ojczystej przyrody, w pozółkłej trawie chce widzieć macierzankę lub złoty rozchodnik, w cedrzyńcu odnajduje jałowiec. Odnosi się wrażenie, że mimo egzotyki i wybujałej roślinności nowa ojczyzna jest jedynie namiastką Polski. Charakterystyczne jest tu porównanie siebie do polskiej wierzby, „która nie chciała się przyjąć i zaklimatyzować w egzotycznej, wulkanicznej ziemi” (JG, s. 7). Antropomorfizacja wierzby-polskiego drzewa – symbolu podkreśla obcość i tęsknotę za krajem.

Surynowa-Wyczółkowska stara się oswoić argentyńską rzeczywistość przez włączanie do obcego świata polskich akcentów. Takie znaczenie ma wybudowany przez bohaterkę jej wspomnień argentyński dom w stylu szlacheckich dworców z „ganeczkiem na słupach, facjatką i okiennicami” (JG, s.224) albo ogród, w którym wbrew klimatowi próbuje pielęgnować polskie kwiaty. Wszystko to jednak okazuje się czymś zamiast, jest imitacją „kraju lat dziecińczych”. Małżeństwo z Argentyńczykiem[11] zamiast pomóc w asymilacji, pogłębia wyobcowanie, bo dom Teresy i Jose Maria to zderzenie dwóch zupełnie różnych kultur, których punktów stykowych nie może odnaleźć Gringa.

W nowej ojczyźnie Teresa nie potrafi się zaaklimatyzować. Mimo wysiłków męża Argentyńczyka, który buduje jej dom do złudzenia przypominający polskie dworki

szlacheckie, bohaterka czuje się obco. Ma wrażenie, że ciągle jest Gringą (jak w tytule drugiej powieści Surynowej), a jej życie na emigracji jest zaledwie imitacją prawdziwego.

*José buduje w centrum miasta dom i ma złudzenia, że to jest dom polski. A więc dom ma bardzo spadzisty i czerwony dach. Ganeczek na słupach. Facjatkę [...] Przy naszym polskim domu tuje imitują świerki. Patio imituje werandę [...](G, s. 224).*

Nieprzypadkowo w cytowanym fragmencie pojawia się słowo „imitacja”. Obczyzna jest tu postrzegana bowiem jako falsyfikat. Budowany na uchodźstwie dom jest dla bohaterki rodzajem kłamstwa, gdyż jest przekonana, że nie będzie on w stanie zastąpić tego prawdziwego, który pozostał daleko za „żelazną kurtyną”. Wywołuje więc wyrzuty sumienia i samooskarżenie o zdradę ojczyzny. Takie odczucia rodzą się u narratorki w momentach zachwyty dla bujności argentyńskiej przyrody. W tych spontanicznych relacjach bohaterka sagi zauważa, że w jej język ojczysty wkładają się obco brzmiące hiszpańskie słowa oddające świeżość i zapach kordylierskiego powietrza. Tłumaczy ten fakt następująco:

*Bo tak właśnie jest mi pomyśleć poręczniej i łatwiej. „Wynaradawiasz się, Tereso – myślę idąc do autokaru”(G, s. 65).*

Kwestie języka ojczystego i jego zacierania się (obumierania) zaświadcza o wynarodowieniu. Dlatego wpisując się w schemat matki strażniczki polskości, Teresa stara się kultywować język polski w rodzinie[12]. Ale sama pochodząca z mieszanej (polsko-czeskiej) rodziny wie, że utrzymanie językowej czystości jest po prostu niemożliwe. Zwiedzając Buenos Aires konkluduje, że to przyszła stolica jej argentyńskich dzieci. Ma zatem świadomość nieuchronności procesów asymilacyjnych. Jednak pogodzenie się z tym faktem nie przychodzi jej łatwo. Czuje się Inną, wyobcowaną i rozdartą wewnątrz[13].

Z pewnością taka postawa nie sprzyja adaptacji w nowym miejscu. Nie ułatwia jej także córka, z którą Teresa nie może nawiązać kontaktu. Barabrita odczuwa wyraźnie obcość matki, spowodowaną nie tyle tęsknotą za ojczyzną, ile jej zupełną

odmiennością kulturową. W reakcji na określenie „wstrętna Gringa”, wypowiedziane w złości przez córkę, Teresa odpowiada:

*I ty jesteś Gringa - mówię twardo - bo jesteś moją córką. Złe spojrzenie spod rozgrzanej grzywki i krzyk: - Wstydzę się, że jestem córką Gringi. Córką de una Polaca (córką Polki) (G., s.215).*

Scena ta przypomina Teresie kłótnie ze swoją matką w Polsce, którą - podobnie jak teraz jej córka - oskarżała o zbyt długi, anachroniczny patriotyzm. Trzeba jednak zauważyć, że bohaterka *Gringi* nie rozpatruje konfliktu z córką w kategoriach buntu pokoleniowego. Nadaje mu - jak i całej swej egzystencji - wymiar narodowościowy. Oskarża się bowiem, że niedostatecznie zabiegała o polskość córki i gdy ta dorosła, nie jest w stanie jej zrozumieć. Niemniej jednak to właśnie Barabrita wytknie matce zamknięcie w „skorupie polskości” i brak rozeznania w bieżących sprawach ojczyzny. Przedstawiając Teresie narzeczonego Polaka - emigranta 1968 roku - zapyta wprost:

*A więc? Jeżeli w Polsce nie ma antysemityzmu, to dlaczego ty, Ricardo, obawiasz się, że mamita, pomimo wszelkiej amistad (przyjaźni) jaką ma dla ciebie, może być niezadowolona z naszego matrymonio (małżeństwa)? (JG, s.65).*

Wprowadzenie do powieści przedstawiciela nowej fali uchodźców uzmysławia bohaterce konsekwencje jej długotrwałej samoizolacji, gdyż zrozumienia nie znajduje już nie tylko u swojego dziecka, ale także u przybysza z Polski. Prowadzi to do przekonania, że powrót do kraju jest już niemożliwy. Tej ojczyzny, którą pozostawiła kiedyś jako nastolatka, już po prostu nie ma.

*Część 2 ukaże się w poniedziałek, 15 lipca 2019 r.*

---

[1] Artykuł jest fragmentem zamieszczonym w monografii *Emigrantki, nomadki, wagaundki. Kobiety narracje (e)migracyjne*, Rzeszów 2015.

[2] Zob. *Dwudziestolecie mniej znane. O kobietach piszących w latach 1918-1939. Z antologią*, red.



2011. Graczyk, M. Graban-Pomirska, K. Cierzan, P. Biczowska, Kraków 2011.
- [3] B. Karwowska, *Druga płeć na wygnaniu. Doświadczenie migracyjne w opowieści powojennych pisarek polskich*, Kraków 2013, s.6.
- [4] J. Surynowa-Wyczółkowska, *Teresa dziecko nieudane*, Londyn 1961. Cytaty pochodzące z tego wydania oznaczam skrótem TDN. Z zawartych w *Ferdydurke* (oraz w późniejszych dziełach Gombrowicza) uniwersalnych idei czerpią również pisarze emigracyjni. Dotyczy to między innymi zagadnienia konstrukcji postaci, których podobieństwo do Gombrowiczowskiego wzorca dostrzec można choćby w powieściach Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej, Olgi Scherer, Jerzego Pietrkiewicza, Mariana Pankowskiego i Mariana Czuchnowskiego.
- [5] K. Lachowicz, „*Jesteś na obcej ziemi, i sama*”. *Doświadczenie emigracji w powieściowym płaszczu. „Jesień Gringi „ Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej, „Archiwum Emigracji, . Studia- Szkice -Dokumenty”* , 2009, z. (2) 11, s. 144.
- [6] W. Lewandowski, *Czy to wstyd wspominać? Kilka wstępnych poruszeń tematu, „Archiwum Emigracji. Studia -Szkice - Dokumenty”*, Toruń 2009, z.2, s. 6.
- [7] W. Ligęza, „*Wizje Ameryki Łacińskiej w prozie Bobkowskiego, Gombrowicza i Straszewicza*, (w:) *Proza polska na obczyźnie. Problemy - Dyskursy - Uzupełnienia*, red. Z. Andres, J. Pasterski, A. Wal. , t. 1, Rzeszów 2007, s. 53.
- [8] K. Lachowicz, „*Jesteś na obcej ziemi sama*”., s. 145.
- [9] J. Surynowa-Wyczółkowska, *Jesień Gringi*, Londyn 1976, s. 7. Wszystkie cytaty pochodzą z tego wydania powieści . Oznaczam je skrótem JG.
- [10] O Argentynie Surynowej-Wyczółkowskiej pisałam w szkicu *Obca cudzoziemska ojczyzna*”. *Obrazy Argentyny w prozie wspomnieniowej Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej, Józefy Radzymińskiej i Zofii Chądzyńskiej* . Zob. *Literatura Polska obu Ameryk. Studia i szkice. Seria pierwsza*, red. B. Nowacka, B. Rogowska-Szałasta, Katowice -Toronto 2014., s.571-580.
- [11] W rzeczywistości pisarka była zamężna dwukrotnie: z Józefem Cybulskim, (zginął w wojnie polsko-bolszewickiej) i Józefem Cybulskim, pilotem. W Argentynie

pracował jako przedstawiciel towarzystwa The Anglo-Argentine Society, wykładał też w Instytucie Kultury Angielskiej w San Juan. Zob. E. Żółtowska, *Powrót do pióra*, „Merkuriusz Polski” 1957 nr 7/8.

[12] Problem zachowania języka ojczystego w rodzinie emigranckiej nie jest nowy. Ciekawie opisuje go choćby Zofia Romanowiczowa w *Baśce i Barbarze* (Paryż 1956) czy Ewa Hofman w *Zagubione w przekładzie przekł.* M. Ronikier (Londyn 1989) i Danuta Mostwin w *Ameryko! Ameryko!* Warszawa 1981.

[13] Poprzez wewnętrzne rozdarcie i niezgodę na istniejący kształt rzeczywistości ona sama bliska jest także postaci Victora Zagona z powieści Jerzego Peterkiwicza, *That Angel Burning at My Left Side*, Londyn 1963 wyd polskie: J. Pietrkiewicz, *Anioł ognisty, mój anioł lewy*, tłum. M.Glińska, Warszawa-Lublin 1993 .

---

## **Legendarna felietonistka z Londynu - Krystyna Cywińska.**



**Florian Śmieja** (*Mississauga, Kanada*)

Przez szereg dekad "polski Londyn" delectowało cięte pióro zadziornej felietonistki Krystyny Cywińskiej. W "Dzienniku Polskim" i "Tygodniu Polskim" brylowała jej ironia i dociekliwość. Zawsze uważałem, że brakować nam będzie smaku specyficznej atmosfery "polskiego Londynu" bez wyboru felietonów Krystyny. Ona, niestety, nie zabiegała o to i dziś tylko zachowane, pojedyncze egzemplarze pisma radują naszą duszę. Patrząc na jej felieton "Ojczyzno, gdzie jesteś?" sprzed wielu lat. Wtedy to "Polityka" publicznie spytała dlaczego emigranci nie wracają, a przecież byliby potrzebni. Zacytowała odpowiedzi kilku bardziej znanych ludzi z emigracji. Mrozek przebywał wówczas w Meksyku. Jego głos brzmi teraz jeszcze donośnie i warto go przypomnieć, bo nadal daje do myślenia.

Krystyna Cywińska przypominała, że Mrozkowi "przedwojenne wartości, tak mu bliskie, zniszczyło pięć lat okupacji i czterdzieści parę lat komunizmu. Z okupacji naród wyszedł poraniony fizycznie, pokrzywiony moralnie, a przede wszystkim śmiertelnie zmęczony. A komunizm jego zdaniem "uruchomił w Polsce chama". Tego prawdziwego, naturalnego, który z pochodzeniem społecznym nie ma nic wspólnego.

*Jego definicją jest arogancja, absolutna pewność, że mu się wszystko należy, a nic go nie obowiązuje, więc wszystko należy mu się za nic. W Polsce przedwojennej - pisze Mrozek - nie było motłochu, nawet lumpenproletariat, nawet świat przestępczy miał jakieś swoje reguły gry, kodeksy i poczucie honoru. Była ciemnota, ksenofobia, niezgulstwo, ale chamstwo - nie. Cham nie był w modzie. Dopiero komunizm wyzwolił chama. Zniszczył społeczeństwo, które go kontrolowało i zastąpił je państwem, które nic nie miało przeciwko chamowi, jeśli cham nie miał nic przeciwko niemu... Komunizm odszedł, cham pozostał.*

---

**O Krystynie Cywińskiej:**

<https://www.cultureave.com/felietonistka-z-pazurem/>

---

**Dożywotnio skazany na Polskę**



Winicjusz Gurecki

**28 czerwca 2019 roku zmarł w Mississaudze (Kanada) Winicjusz Gurecki - poeta, działacz Solidarności. Miał 80 lat.**

**Wojciech Piotr Kwiatek**

*W moich wierszach słowiczek nie śpiewa,*

*Żadne dziecko się w nich nie zaśmieje,*

*Bo mym piórem- twarda rzeczywistość,*

*Atramentem - zdeptane nadzieje.*

Tak napisał w jednych ze swych wierszy Winicjusz Gurecki, działacz „Solidarności”, od 1987 roku przymusowy emigrant (paszport w jedną stronę!) na kanadyjskim bruku, opisując lakonicznie i swój poszarpany polski los i swoją sytuację psychiczną. Jak jego typowa dla tamtego pokolenia biografia, tak i wiersze z tomiku „Smugi cienia” dzielą się na dwa okresy: polski i emigracyjny. Ten pierwszy jest polityczny, dramatyczny i „zdarzeniowy”, ten drugi jest – refleksyjny i egzystencjalny. Ale i w jednym i w drugim powstały dobre, chwilami daleko odbiegające od „patriotycznego sznytu” wiersze, w których chodzi o coś więcej niż tylko kombatanckie „noszenie sztandaru”, krzepienie ducha, umacnianie woli walki z „czerwonym”, ciągle odbudowywanie słabnącej chwilami nadziei. Gdy Gurecki napisze:

*Za broń całą dziś musi nam starczyć*

*Myśl ukryta i trochę bibuły (...)*

*(Przeznaczenie)*

Słysząc tu nie tylko dramat prześladowanego, wyzutego z życia i nadziei solidarnościowca, ale i gorycz „człowieka zredukowanego”, a więc refleksje intelektualną. Motyw ten pogłębia jeszcze refleksja historyczno-historiozoficzna z wiersza „Ojczyzno...”:

*Czy kiedyś wreszcie przestaniesz nas dzielić*

*Na złych i dobrych – na głodnych i sytych (...)*

To także często w polskiej tradycji powracające pytanie dotyka jednego z najboleśniejszych polskich problemów: tego, że Ojczyzna nie



traktowała sprawiedliwie swoich dzieci, że ich dzieliła, upokarzała, odrzucała jednych, a wynosiła innych, niekoniecznie oceniając według zasług, że to, co Broniewski nazywał „rachunkami krzywd”, to polski chleb powszedni. Zresztą przytoczony na wstępie wiersz brzmi niemal identycznie jak początek znanego wiersza Broniewskiego „Mannlicher” (Nie głaskało mnie życie po głowie/ Nie pijałem ptasiego mleka), co wskazuje na nawiązanie do tradycji poezji (w dobrym tego słowa znaczeniu) rewolucyjnej, romantycznej. Świadomość tej niesprawiedliwości ciska Gurecki w twarz Polsce jaruzelskiej i kiszczakowskiej, Polsce zbitej, internowanej, podzielonej, krwawiącej, dmuchające w tłące się iskry nadziei niemal wbrew niej, Polsce okłamywanej, sprzedawanej. Polsce, której jakby w tej sytuacji właściwie nie było. Odżywają wtedy tęsknoty za normalnością trudną, ale godną:

*Aby na prawdę poznać życie,*

*Musiałbyś również się urodzić*

*W starej czynszowej kamienicy*

*Dzielnicy Chojny miasta Łodzi.*

*Tam zwykła szara ludzka bieda*

*Skradała się na strome schody,*

*Po których mama z wielkim trudem*

*Dźwigała ciężkie wiadra wody (...).*

*(Poznać życie)*

Niestety - to już tylko wspomnienie. Nie ma już tamtego świata, a za chwilę nie będzie tego już i tego tu - koszmarnego, ale swojego. Ojczyzny. Bo oto już gdzieś podstawiają pociąg lub tankują zbiorniki samolotu, który przewiezie przez Styks, do obcego, nieznanego świata:

*Dziś ostatni raz pogadamy*

*Przy butelce o sprawach naszych.*

*Gorycz czai się na dnie szklanki*

*Spakowana walizka straszy...*

*(Dziś ostatni raz)*

A owa ojczyzna - to przecież bardzo różne rzeczy, ale zawsze cenne. Oddalenie tylko dodaje im wartości, czyni ważnymi, niezależnie od ich natury i funkcji:

*Plik amatorskich zdjęć w albumie,*

*Gwóźdź - kiedyś w ścianę krzywo wbity,*

*W szufladzie - listy przeczytane,*

*W barku - łyk whisky niedopity (...)*

*(Cóż pozostanie)*

A gdy już się przez ten Styks przepłynie - sentymenty należy odłożyć, przynajmniej na początku. Naga prawda pobrzmiwa czystym estetycznym tragizmem, niemal jak z Herberta:

*Tam byłeś wrogi, tu jesteś obcy,*

*Zaciśnij zęby, już raz wybrałeś!*

*(Wigilia 1987)*

Emigranckie życie może być koszmarem, trzeba o tym pamiętać. To jedna więcej pozycja w rachunku, który wystawić się powinno tym, którzy ludzi Sierpnia okradali z ojczyzny (a dziś chodzą w glorii tych, co „uratowali Polskę”):

*Nieraz wspomnienie sen ci odbierze,*

*Wśród nocy wstawać każe*

*I - albo zdusisz w sobie tęsknotę,*

*Albo - spakujesz bagaże (...)*

*(Do Kolegi)*

Emigrant, zwłaszcza polityczny, zawsze nasłuchuje. Czeka. Ma nadzieję. Nadzieję na zmianę, na to, że - trawestując Mickiewicza - ktoś zawoła. Ale dla ludzi takich jak Winicjusz Gurecki czas nie miał dobrych wiadomości. Paskudzające się rany wspomnień stanu wojennego nie miały szans zagoić się. Wsłuchiwanie w głosy z ojczyzny kończyło się jeszcze większą goryczą - goryczą kolejnych klęsk, tracenia kolejnych złudzeń: napływały informacje o kontraktowych wyborach, o spychaniu w niebyt ludzi Sierpnia, o „okrągłym stole”, o tym, że „czerwoni” ręka w rękę z Solidarnością...

*Nie będzie rozliczeń*

*Co było - to było*

*Pozwólcie chwastami*

*Zarosnąć mogiłom.*

*Sto procent w Senacie*

*Trzydzieści pięć w Sejmie*

*Generał też Polak*

*Nie trzeba oddzielnie (...)*

*(Siadajcie)*

A przecież się słucha, żyje się tym krajem, który tak bardzo nie daje się kochać, a

który tak trudno z serca wyrzucić. Cóż – polski los. Nie wszyscy łatwo adaptowali się na emigracji, wielu nie zaadoptowało się i nie zaadoptuje nigdy. To ci, o których pięknie napisał poeta:

*Można uciec przed nędzą i głodem,*

*Przed milicją, więzieniem i wojskiem,*

*Ale wszędzie jesteście skazani,*

*Dożywotnio, zaocznie – na Polskę.*

*(Tęsknota)*

To oczywiście refleksja „pro domo sua”. Takim skazanym jest przecież sam Autor. Co może złagodzić dotkliwość kary? To, co często ocala człowieka: drugi człowiek, miłość. I przeświadczenie, że się w życiu czegoś chciało. Toteż te zwrócone do żony – towarzyszki emigracyjnej tułaczki – słowa Gureckiego, tchną mimo wszystko nadzieją i ufnością:

*Nie narzekaj na tę naszą wspólną drogę,*

*Że ciernista i zakrętów na niej tyle,*

*Przecież sama obiektywnie musisz przyznać,*

*Że się ze mną nie nudziłaś, ni przez chwilę.*

Ciekawe życie... Chińskie przekleństwo. Ale dla Polaka – dziwne słowa. Nie bardzo złe, choć może nie bardzo dobre. Niemal każdemu z nas dane jest właśnie coś takiego: ciekawe życie...

Więc może to jednak przekleństwo? Może należałoby się co dzień modlić o życie nudne? Nie wiem. Autor „Smug cienia” znajduje optymizm.

---

# Fredro z Krainy Humoru

Rozmowa **Anny Gordijewskiej** z **Mariuszem Olbromskim**, literatem, dyrektorem Muzeum Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów w Stawisku.



Pałac Fredrów w Bienkowej Wiszni, fot. Ewa Giszterowicz.

## **Czy Aleksander Fredro jest Panu bliski?**

Oczywiście, to rodak z mojej „małej ojczyzny”. Aleksander Fredro herbu Bończa przyszedł na ten świat w Surochowie w 1793 roku, w wiosce położonej przy starej trasie kolejowej między Jarosławiem a moim rodzinnym Lubaczowem. Mniej więcej w odległości kilkunastu kilometrów. Fredrowie, byli bogatą szlachtą, mieli tytuł hrabiowski. W Surochowie był drewniany dwór, który później został przebudowany na pałac. Aleksander rósł w nim do trzeciego roku życia. Kiedy w dzieciństwie

jeździliśmy tą trasą kolejową, moja mama mówiła: „Patrz, tu się urodził Fredro”. Ale nie było na co patrzeć. Stacyjka w Surochowie była mała, zaniedbana. Do dziś nic się tam nie zmieniło. Pałac Fredrów spalono w czasie II wojny światowej, a w latach 70. został rozebrany. W Lubaczowie, w domu moich dziadziów były książki Fredry. Czasem w codziennych rozmowach go cytowano. Może dlatego, że babcia Aniela, piękna kobieta w młodości, występowała w amatorskim teatrzyku w pobliskim Cieszanowie. Wystawiano sztuki Bałuckiego i Fredry. Kiedy zapomniała roli w „Ślubach panińskich” dziadziś, wtedy ognisty kawaler, przytomnie zerwał się z pierwszego rzędu i zasłonił kurtynę. Tym wiekopomnym zgoła czynem zwrócił na siebie jej uwagę. Zjednął sobie przychylność przyszłej żony. Tak więc Fredro uroczo i dowcipnie, w jakimś stopniu, przyczynił się też do tego, że zaistniałem nieco później na tym świecie. Oprócz przeżyć literackich, teatralnych, coś niecoś mu zawdzięczam.

### **Biografia Fredry związana jest nie tylko z ziemią lubaczowsko-jarosławską, przemyską, ale i lwowską...**

Może przede wszystkim. To zresztą jest jeden krąg kulturowy. Mały Fredro z Surochowa wyjechał z rodzicami do swych dziadków, którzy mieszkali we dworze w Nienadowej nad Sanem, w pobliżu Przemyśla. Ten dwór do dziś istnieje, jest w rękach prywatnych. Fredro po okresie napoleońskim jakiś czas gospodarował w Jatwięgach, a później w pobliskiej Bieńkowej Wiszni koło Rudek, w pięknym pałacu, który zresztą sam, na prośbę ukochanej żony, zaprojektował i zbudował. Później przeniósł się do Lwowa, do dworku na Chorążczyźnie, gdzie tworzył, działał dla dobra miasta i kraju, i gdzie zmarł w 1876 r. Pochowany został w krypcie kościoła parafialnego w Rudkach. Jeśli nie liczyć jego podróży do Włoch, do Paryża, gdzie chodził na przedstawienia do teatru i tam zapoznał się bliżej ze sztuką sceniczną, jeśli nie liczyć romantycznej wycieczki razem z Napoleonem śladami hetmana Stanisława Żółkiewskiego do Moskwy, to można uznać, że mieszkał większość życia w pobliskich sobie miejscowościach, na tym szczególnym obszarze.

### **Dlaczego można mówić o „szczególnym obszarze”?**

Dla mnie, ten obszar zwany niegdyś Małopolską Wschodnią, to jeden duchowy krąg. Istnieją tam miasta o podobnej historii, architekturze, w których panoramie dominują wieże kościołów i cerkwi, jeszcze często można tam spotkać zrujnowane



synagogi. Realne świadectwa wieków wspólnego życia, wspólnej historii kilku narodów. To widać od razu. Ale jest jeszcze coś co się nazywa aurą duchową, która dawniej te miejscowości też łączyła. Z tej aury zrodziła się między innymi gwara lwowska „bałak”. Bo to jest właśnie obszar „Księstwa Bałaku”, którego Lwów był stolicą. Trzeba przypomnieć, że określenia tego użył po raz pierwszy w jednym z poematów Andrzej Chciuk, poeta i pisarz z Drohobycza. Wielbiciel tej cudownej gwary, słońca mowy kresowej. Języka, w którym słowa polskie, ruskie, jidisz, niemieckie, ormiańskie, wielu innych narodów połączone humorem, przeniknięte uśmiechem tworzą cudowną mieszaninę. To jakieś jedyne na świecie „esperanto” kilku narodów, którym bałakano ze sobą na fali porozumienia duchowego, poczucia wspólnoty, mimo różnic. Ukochaną gwara potrafilo porozumiewać się ludzie kilku narodów, z różnych środowisk: profesorowie lwowskich uczelni, szkół, inteligencja. Ale i batiarzy, i tak zwani zwyczajni – choć słowo to bardzo mylące – mieszkańcy wielu miast i miasteczek. Oczywiście „Księstwa Bałaku” nie ma i nie było na żadnej mapie. A jednak istniało. Wspólnie, z drugim.

### **A z jakim, proszę powiedzieć?**

Dla mnie „tym drugim” jest literacka „Kraina Humoru”. Która powstała na tym samym, niewielkim obszarze. Mimo wszystkich tragedii historii. Właśnie ze specyficznej aury duchowej, ze specyficznej tradycji, z inteligencji i polotu serc. Bo właśnie z tego przecież regionu pochodzą pisarze obdarzeni szczególnym darem wywoływania śmiechu. I ich wspaniałe, mądre, krzepiące, bawiące nas do dziś dzieła. Począwszy od „ojca literatury polskiej” Mikołaja Reja z Żurawna nad Dniestrem, który pisał nie tylko poważne rozprawy, jak „Postylla”, czyli komentarze do Biblii. Bo jest on też autorem „Figlików”, które i dziś potrafią śmieszyć. To zbiór 236 ośmiowersowych epigramatów, wydanych w 1574 roku, uroczych perełek humoru. Jego najpopularniejsze obecnie dziełko „Krótka rozprawa między panem, wójtem, a plebanem”, zawiera wszak świetne fragmenty humorystyczne. W pobliżu Żurawna w Stryju urodził się we współczesnych już czasach i wychowywał Kornel Makuszyński, autor „Koziołka Matołka”, ale i szeregu innych „słonecznych” utworów dla młodzieży. To chyba nasz najbardziej pogodny pisarz w XX wieku. Ale Krainę Humoru tworzył też ks. bp. Ignacy Krasicki, przez lata związany z Przemyślem i jego wspaniała „Monomachia”, której akcja ponoć dzieje się w tym mieście.

## **No, a we Lwowie w XX wieku Marian Hemar...**

Tak, jak najbardziej Marian Hemar, świetny poeta, autor trzech tysięcy tekstów uroczych i dowcipnych piosenek kabaretowych, wielkich przebojów, takich jak: *Kiedy znów zakwitną białe bzy*, *Czy pani Marta jest grzechu warta*, *Ten wąsik*, *Nikt, tylko ty*, *Upić się warto*. Świetnie, że teraz we Lwowie powstał kabaret polsko-ukraiński inspirowany się twórczością Hemara, bo humor także łączy. A i Wiktor Budzyński, przed wojną dyrektor słynnej „Wesołej Lwowskiej Fali”, gdzie Szczepcio z Tońkiem bałakali, reżyser wielu słuchowisk, poeta, autor wodewili, m.in. „Preclarki z Pohulanki”. Henryk Zbierzchowski, twórca pieśni kabaretowych, komedii, takich jak „Małżeństwo Loli”, „Pojedynek” „Szczęście Gzymsa”. Także Horacy Safrin rodem z Monasterzysk na Podolu, który zebrał finezyjne anegdoty żydowskie. I dobrze, że je stale drukuje „Kurier Galicyjski” A także, a może nade wszystko, lwowski „książę poetów” Zbigniew Herbert z jego mądrym humorem, z jego świetną poetycką kreacją Pana Cogito i sławną na całym świecie ironią. I wielu, wielu innych. Trudno wymienić wszystkich. Ze współczesnych trzeba choć wspomnieć o Witoldzie Szolginii, czy Januszu Wasylkowskim. Pewnie zabrakło by szpalt gdybym miał o każdym choć kilka słów powiedzieć. Twórczość Fredry, który był genialnym samoukiem i wyrósł na naszego najwybitniejszego komediopisarza, jest odrębna i jedyna. Ale przecież jest częścią tego kręgu kulturowego, współtworzy magiczną, wspaniałą, literacką „Kraję Humoru”.

## **I ta literacka Kraina Humoru istnieje razem z Księstwem Bałaku?**

Kraina Humoru istnieje i może będzie się jeszcze ubogacać. Trochę gorzej jest z „Księstwem Bałaku”, bo dzisiaj na skutek przemian cywilizacyjnych i historycznych bałak prawie zaginął. Już niewielu go pamięta i chce się nim cieszyć. A szkoda. Jeszcze w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych bałakiem posługiwano się dość często. Także w moim Lubaczowie, dokąd po wojnie przyjechało sporo osób zza wschodniej granicy. Czasy były trudne, ale ratowano się, między innymi, humorem. Przeplatany właśnie bałakiem, który długo po wojnie, także w przygranicznym Lubaczowie, jeszcze trwał.



Wnętrze pokoju Aleksandra hr. Fredry. Według fotografii Trzemeskiego.

(3267)



### **Czy może Pan podać przykład z tamtych czasów?**

W PRL-u panował systemem, którego głównym zadaniem była naprawa problemów, które sam nieustannie tworzył. Pracowano wytrwale. Panował - że tak powiem - urodzaj niedoborów. Co roku obfitowało. Któregoś lata nie mogli wyprodukować środków owadobójczych. Ruszyła propaganda: „Imperialiści zrzucają stonkę z samolotów, by zniszczyć zbiory!” Na polach stonki było faktycznie mnóstwo. Pojawiły się plakaty. Na jednym z nich, który wisiał w domu mego dziadka w wychodku, stonka wyglądała jak groźny potwór z kosmosu. Ogromnych rozmiarów, z okiem jak hełm kosmonauty, z mackami zakończonymi długimi palcami złodzieja. Niekiedy chodziłem z dziadziusem do sklepów, aby mu pomóc. I pamiętam taką rozmowę w „Sklepie żelaznym”. - *Czy som może gwoździ, czy stonka żziarła?* - pytał grzecznie dziadzius. - *Ali to* - odpowiadał uprzejmie sprzedawca - *zziarła już kartofli, buraki, mnienso, koszuli i meszty w całym mieści. Ali gwoździ jeszcze ni. Bo ma po nich czekawkę. I dlatego som.* - *To ja poproszy te gwoździ mniejszy* - kontynuował

dziadzius – *Bo moży po dużych si zadławi i zdechni. – Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba* – odpowiadał cytatem z Fredry, wznosząc nabożnie oczy do góry, sprzedawca.

### **Jak rozwijała się twórczość autora „Zemsty”?**

Tworzył skokami, nie w sposób ciągły. Miał okresy wzmożonego wysiłku twórczego, a potem milczenia. W roku 1818 w wieku dwudziestu kilku lat napisał pierwszą ważną komedię „Pan Geldhab”. Pierwszy etap jego twórczości przyniósł świetne komedie, m.in. „Męża i żonę”, „Cudzoziemczynę”, „Śluby panieńskie”, „Pana Jowialskiego”, no i „Zemstę” oraz „Dożywocie”. Fredro tworzył wówczas także wodewile i farsy, jak choćby: „Damy i huzary” oraz „Gwałtu, co się dzieje!” W 1835 roku po krytyce twórczości m. in. przez Seweryna Goszczyńskiego komediopisarz na 15 lat umilkł, pisał tylko „do szuflady”. Po wspomnianej przerwie wznowił działalność twórczą i wówczas powstało szereg świetnych dzieł, z których na szczególną uwagę zasługują: „Wielki człowiek do małych interesów”, „Wychowanka”, „Rewolwer”. Wznowił swoje komediopisarstwo około sześćdziesiątego roku życia, zamknął pod osiemdziesiątkę. Nie ma w naszej literaturze analogicznego przypadku. Jego twórczość trwała łącznie 50. lat. Mało się o tym pisze i mówi, ale prócz talentu Fredro był ogromnie pracowity. I ciągle się uczył. To był wielki mistrz słowa polskiego. Każdy z etapów jego twórczości mógłby starczyć na osobną biografię twórczą. Obie są wspaniałe i różne. Każda z nich mogłaby być pełnym, osobnym dorobkiem życia wybitnego pisarza. A przecież komedie to nie wszystko. Pisywał wiersze, poematy, aforyzmy, no i cudowne bajki. Któż ich nie zna: „Małpa w kąpielu”, „Zupa na gwoździu”, „Paweł i Gawel”. Osobnym, świetnie napisanym dziełem jest pamiętnik „Trzy po trzy”. W późnym okresie powstały „Zapiski starucha”, których już sam tytuł mówi o dystansie do siebie autora, zbiór aforyzmów. Stosował różne techniki komediowe, wiele poematów przynosi oryginalne eksperymenty wersyfikacyjne.

### **Czy Fredro był na co dzień wesoły?**

Nie. Był ponurakiem. Hipochondrykiem i na starość coraz większym mizantropem. Może był wesoły we wczesnej młodości, kiedy szalał na balach. Później, w związku z przeżyciami z wojen napoleońskich, po rosyjskiej niewoli w Wilnie, miał powody do



bycia w złym humorze. Ze względów zdrowotnych, ale też innych. Galicja była w końcu zaborem, była niewolą. Jest taka świetna książka na ten temat Jarosława M. Rymkiewicza, „Fredro jest w złym humorze”. Od roku 1828 dręczyła pisarza podagra, bolesna choroba stawowa nie bez związku z jego przeżyciami wojennymi. Z roku na rok ataki podagry były coraz boleśniejsze, szczególnie w nocy Fredro nie mógł w ogóle spać. Pisał całe noce stojąc przy pulpicie. Miał przywiązane pióro do ręki, która go bolała, a koślawe litery w ostatnich latach jego życia przepisywał w dworku na Chorążczyźnie specjalnie zatrudniony kopista. Jeszcze później Fredro nie mógł całymi dniami wstać z łóżka. Dzieła, które nas bawią, powstawały często w szczególnych okolicznościach. Jednak trzeba też wspomnieć, że wielkim dla niego ratunkiem było szczęśliwe małżeństwo z Zofią z hr. Jabłonowskich, z którą się bardzo kochali. Myślę także, że jego twórczość była dla niego samego także autoterapią, radością tworzenia, jego wspaniałym darem dla społeczeństwa, które między innymi chciał chronić humorem przed apatią, po klęsce powstania listopadowego.

### **Czy Fredro był patriotą?**

Tak, gorącym. Już w wieku szesnastu lat, kiedy do Galicji wkroczyły w 1809 oddziały księcia Józefa Poniatowskiego, zaciągnął się do Armii Księstwa Warszawskiego. W 1812 roku wziął udział w wyprawie na Moskwę. W czasie walk dostał się do niewoli rosyjskiej w Wilnie, z której sprytnie zbiegł i udał się do Saksonii. Następnie walczył pod Dreznem, Lipskiem, Hanau, później w kampanii francuskiej – we wszystkich wielkich bitwach prowadzonych przez Napoleona. Awansował do stopnia kapitana. Kiedy skapitulował Paryż, w roku 1814, podał się do dymisji. Bił się dzielnie, był świetnym żołnierzem o czym mogą świadczyć odznaczenia, które otrzymał za zasługi wojenne. To Złoty Krzyż Virtuti Militari w 1812 roku, a dwa lata później Krzyż Kawalerski Legii Honorowej.

Po latach, w utworze „Pro memoria” pisał o tym lekko i dowcipnie. Przy okazji podał dość mało romantyczną wersję powołania poetyckiego, która osłabia zapał jego apologetów, wprawia w zakłopotanie uczonych teoretyków literatury:

*Wyjechaliśmy razem nie z równych pobudek,  
Napoleon na Elbę, ja prosto do Rudek.  
Tęskniłem za obozem... nudziłem się przeto,*

*I ażeby coś zrobić, zostałem poetą.*

Później, gdy walka zbrojna stała się - jego zdaniem - niemożliwa, świetnie gospodarował w Beńkowej Wiszni i walczył piórem.. Podejmował szereg wyjątkowo cennych dla społeczeństwa inicjatyw. Uczestniczył na przykład w kształtowaniu Zakładu im. Ossolińskich. Fredro był jednym z animatorów powstania kolei w Galicji. Korespondował w tej sprawie z Leonem Sapiehą, zabiegał o fundusze na ten cel u bankierów w Wiedniu. Napisał do cesarza adres, w którym domagał się wprowadzenia języka polskiego w szkołach i urzędach, udziału Polaków w urzędach państwowych. Podpisał też petycję - wtedy, co warto podkreślić - o konieczności utworzenia wolnej Polski. Ogromnie zasłużył się nie tylko jako pisarz, ale też jako obywatel Lwowa. Miasto obdarzyło go honorowym obywatelstwem oraz pięknym pomnikiem według projektu Leonarda Marconiego z 1879 r., który stał w centrum Lwowa. Po wojnie monument na pewien czas przewieziono do Wilanowa, a od 1956 roku zdobi rynek we Wrocławiu, gdzie trafiła po wojnie duża część ludności ze Lwowa.



**Czy w związku z tym, że Fredro jest Panu bliski, także w Stawisku zaistniała impreza fredrowska?**

Oczywiście, nazwana przekornie w nawiązaniu do znanego hasła ze słusznie minionego okresu „Fredro wiecznie żywy”. Ma charakter doroczny i na Mazowszu się przyjęła. W tym roku niedawno ze sztuką „Mąż i żona” pojawili się w Stawisku młodzi i bardzo utalentowani absolwenci Akademii Sztuk Teatralnych we Wrocławiu Natalia Bloch i Piotr Czekalski, aktor Teatru Pinokio w Łodzi. Młodzi wystąpili ze spektaklem we własnej adaptacji, scenografii i reżyserii.

**Przyczynił się Pan kiedyś do utworzenia Muzeum Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu, Józefa Conrada-Korzeniowskiego w Berdyczowie, a później w jakimś stopniu też do utworzenia Muzeum Aleksandra Fredy w Rudkach. Jak**



## **do tego doszło?**

Mam taką niegroźną - jak mnie uspokajają lekarze - manię. Polega ona na chęci tworzenia muzeów. Kiedyś na próżno próbowano mnie z niej wyleczyć w Przemyślu, gdzie powstał nowy, okazały gmach muzeum. I dwa inne muzea. O Muzeum Fredry marzyłem od dawna. W 1990 roku byłem po raz pierwszy w pałacu Fredrów w Beńkowej Wiszni. Chodząc po salach razem z prof. Bogdanem Zakrzewskim z Wrocławia, wybitnym fredrologiem, już wtedy snuliśmy plany. Ale pałac jest ogromny, mocno zaniedbany. Później powracałem do tematu z panem Jackiem Dmitrowskim, dyrektorem Muzeum Regionalnego w Dębicy. Ale remont pałacu pochłonąłby ogromne kwoty i trwał bardzo długo. Na razie przeprowadzono prace związane z inwentaryzacją. To w przyszłości będzie pomocne do prowadzenia dalszych przedsięwzięć, niezależnie od wartości naukowej samej inwentaryzacji. Mieści się tam teraz filia uczelni rolniczej w Dublanach. Jest tam jedna sala poświęcona Fredrze, a prowizoryczną ekspozycję zorganizował dyrektor tej placówki.

## **Ten pałac to budynek wyjątkowy...**

Zupełnie. Bo nie tylko zaprojektowany i zbudowany przez pisarza, nie tylko jest piękny architektonicznie, ale to miejsce wyjątkowe dla naszej całej kultury literackiej. W nim mieszkał w latach 1828-1846 żoną Zofią z domu Jabłonowską, i tam powstały najlepsze komedie Fredry z pierwszego okresu jego twórczości. Później gospodarował w nim i tworzył jego syn Jan Aleksander Fredro, również utalentowany komediopisarz, a następnie syn Jana - Andrzej Maksymilian Fredro, literat i poeta. Zatem przez trzy pokolenia ród Fredrów tym budynkiem tworzył ze słów pałac kultury polskiej. Ale ponieważ szybkie utworzenie w tym budynku muzeum było niemożliwe, powstał więc projekt, żeby we wnętrzach zabytkowej, barokowej dzwonnicy kościoła w Rudkach, gdzie pisarz - jak wspominałem - został pochowany i jest kaplica rodowa Fredrów, zorganizować małą ekspozycję. Swoją manię zaraziłem Adama Chłopka z Drohobycza, który włączył się i ogromnie zaangażował w zorganizowanie tej skromnej ekspozycji. Uroczystość jej otwarcia i poświęcenia w 140. rocznicę śmierci wielkiego komediopisarza odbyła się z udziałem J.E. ks. abp Mieczysława Mokrzyckiego, aktorów Polskiego Teatru ze Lwowa i Teatru Fredreum z Przemyśla, licznie zgromadzonych mieszkańców Rudek. Teatr Fredreum był tam zresztą po raz

kolejny, bo co roku fredrowcy odwiedzają Rudki, aby złożyć kwiaty na sarkofagu swego patrona i zapalić znicze. Wiele razy, kiedy jechaliśmy w ramach „Dialogu Dwóch Kultur” do Krzemieńca, to po drodze przyjeżdżaliśmy do Rudek. Często towarzyszył nam zespół Teatru Fredreum. Nigdy nie zapomnę jak któregoś roku wspaniale zaprezentował się na stopniach pałacu w Beńkowej Wiszni z fragmentami „Zemsty”. Była piękna pogoda, pałac w blasku wrześniego słońca wyglądał urzekająco, a aktorzy stworzyli w tej wyjątkowej scenerii cudowne kreacje. Ale chyba największym dla mnie przeżyciem był spektakl Polskiego Teatru Ludowego ze Lwowa na uroczystości ponownego pochówku Aleksandra Fredry w 1991 r., kiedy zespół kapitalnie przedstawił „Dawny spór” Mariana Hemara. To błyskotliwie napisana jednoaktówka, w której Hemar przypomina atak Seweryna Goszczyńskiego na Fredrę. Goszczyński był oburzony, że Fredro po upadku powstania listopadowego pisze i wystawia komedie, że jest obojętny na sprawy narodowe. Spór taki rzeczywiście miał miejsce, bo autor „Zamku Kaniowskiego” zaatakował Fredrę w 1935 roku na łamach „Powszechnego Pamiętnika Nauk i Umiejętności”. Trzeba wspomnieć, że w zasadzie tym atakiem Goszczyńskiego nikt się specjalnie nie przejął, bo społeczeństwo uwielbiało jego komedie, oprócz samego Fredry, który umilkł na wiele lat. Goszczyński, sam jak wiemy wspaniałym poetą i patriotą, nie zrozumiał intencji Fredry. Ale zrozumiał je, na przykład książę Adam Czartoryski, niekoronowany król Polski na emigracji w Paryżu, który do autora „Zemsty” skierował list gorąco zachęcając go do dalszej twórczości. Zatem właśnie w Rudkach pierwszy raz spotkałem Teatr Polski ze Lwowa i od razu pojąłem, że mam do czynienia ze zjawiskiem artystycznym świetnym i zupełnie wyjątkowym.



### **Czy prawdą jest znane porzekadło, że „śmiej się, to zdrowie”?**

To powiedzonko niesie prawdę. Jest rzetelną informacją. Dzisiaj wiadomo na podstawie doświadczeń lekarzy, a także po licznych badaniach klinicznych, że śmiech wpływa pozytywnie na krążenie i ciśnienie krwi. Powoduje wzmożoną pracę serca. Śmiejąc się nabieramy więcej powietrza do płuc, a więc dotleniamy organizm. Co ma dalsze i wielorakie pozytywne skutki. Ćwiczymy mięśnie szkieletu, relaksujemy ciało. Śmiech, między innymi łagodzi problemy z astmą i migreną. Przyczynia się do osłabienia bólu. Generalnie więc polepsza stan zdrowia. A jak twierdził sam Fredro:

*Szanuj zdrowie należycie*

*bo jak umrzesz stracisz życie”.*

### **Czy ma oddziaływanie tylko somatyczne, czy wpływa też na psychikę?**

Jak wiadomo organizm człowieka stanowi jedno. Dobre zdrowie fizyczne warunkuje dobre zdrowie psychiczne. I na odwrót. Śmiechem na poważnie zajmowali się filozofowie, począwszy od Arystotelesa. Humor ma ogromne znaczenie terapeutyczne. Często jest wyrazem życzliwości, przychylnego stosunku do innych ludzi, świadczy o pełnym rozwoju osobowości człowieka. Czyli Fredro krzepi, a wraz

z nim wszyscy twórcy „Krainy Humoru”.

### **Co w takim razie zaleca Pan jako lekarstwo?**

Rano dwie pigułki z dzieł Fredry, w południe dwie łyżki z Hemara, wieczorem pigułka z Makuszyńskiego. Zwłaszcza gdy w domu są dzieci i można poczytać „Koziołka Matołka”. Nacierać głowę maścią „Tońko i Szczepcio”, będzie lepiej! Smarować uszy bałakiem. I nie trzeba będzie chodzić do szpitala, czekać w długich kolejkach. Oszczędza się fundusze na leki w aptece. Jeśli nie pomoże, to nie zaszkodzi. Mogę na to udzielić bezpłatnie każdemu gwarancji na sto lat. Na piśmie.

### **Bardzo dziękuję za rozmowę.**

Ta to ja dziękuję. Ta z taku magnifiku to sam mniód bałakać. Padam do nużek i całuję rączki.

### **Rozmawiała Anna Gordijewska**

*Tekst ukazał się w „Kurierze Galicyjskim” we Lwowie, nr 8 (328) 26 kwietnia - 16 maja 2019 r.*

---

# **Z pustych serc w próżną formę**



fot. cgtrader.com

**Florian Śmieja** (*Mississauga, Kanada*)

Nie raz już zastanawiano się nad problemem twórczego pisania poza krajem, z dala od polskiego społeczeństwa. Nie chodzi o czasowe pobyty pisarza za granicą, ale o Polaków stale przebywających poza ojczyzną. Wystarczy spojrzeć na same tytuły artykułów i antologii, aby zdobyć niezłą orientację w materii: „Mowa bez ziemi”, „Ryby na piasku”, „Opisanie z pamięci”, „Cena wolności” itp. Te nagłówki dostatecznie mówią o anormalnych warunkach piszącego na emigracji w ojczystym języku. O ile jest zrozumiałe i naturalne, że pisarze wyrzuceni z ojczyzny przez kataklizm historyczny i nie mogący z powodu sytuacji politycznej do niej powrócić, piszą dalej, kontynuują swoje powołanie artystyczne czy naukowe, o tyle dorastająca za granicą młodzież jest w innej sytuacji. Kiedy młody człowiek podejmuje pióro, nawet we własnym kraju w normalnych warunkach, robi krok pełen ryzyka. Jest on szansą, a może się stać wielką przygodą. Debiutant musi opanować narzędzia swego

fachu, umieć przekonać do siebie kolegów, znaleźć odbiorców. Jeżeli ma talent, czuje gust czytelnika, to startuje pod pomyslnymi znakami. Debiut wśród obcych w mało znanym otoczeniu bez zapewnionych czytelników jest zupełnie inną propozycją.

Takie trudne początki miała grupa młodych Polaków, która w latach pięćdziesiątych znalazła się w Anglii, precyzyjniej: w Londynie. Na przykładzie ich terminowania, najpierw w Kole Polonistów, a następnie w redakcjach pism studenckich „Życie Akademickie”, „Merkuriusz Polski” i „Kontynenty” można obserwować ich początki. Trzeba na wstępie zaznaczyć, że byli oni dziećmi, kiedy wybuchła wojna, najstarszy z nich liczył czternaście lat. Języka polskiego douczali się w sowieckich posiołkach, w obozach wojskowych, na pracach rolnych. Nie była to szkoła najlepsza.

Równocześnie poddani byli interferencji języków obcych z angielskim na czele, który był nie tylko językiem społeczeństwa, z którym związali swoje losy, ale zwycięskim medium, które podbijało wszystkie kontynenty stając się bezspornym językiem światowym.

U tych młodych, mimo rozległych perspektyw, jakie ukazywał język angielski, zwyciężył jednak język polski, niedouczony, taki jakim władali, jako język pierwszy i kulturowo decydujący. On się stał materią ich pisarskiej twórczości. Układając po polsku pierwsze wiersze czuli, że weszli na niezmiernie uciążliwą, ale właściwą i jedyną drogę.

Normalną koleją spraw, powinni się byli uczyć od swoich starszych kolegów o przedwojennym dorobku i kontynuowanej twórczości, a nie brakowało ich w stolicy Wielkiej Brytanii, w której schronił się legalny rząd i powstały liczne placówki dające poczucie namiastki państwa, również instytucje kulturalne jak uniwersytet, dynamiczna biblioteka, teatr, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, bogata prasa i szereg domów wydawniczych. Logiką nowego pokolenia nie poszli w ślady starszych, bo kierunek wytyczony przez nich nie był dla debiutantów atrakcyjny. Młodzi czuli się inni, mieli tylko ograniczoną pamięć ojczyzny, a już byli po części z Zachodem zżyci.

Z początku funkcjonowali jako dziwny fenomen, *curiosum* zgoła na polskiej scenie. Ale w miarę jak szli dalej własną drogą, nie potrzebowali wskazań innych, odezwały się głosy niezadowolenia i cenzury. Krytykowano szczególnie ich twórczość

poetycką.

Poezja współczesna nie ma czytelnika. Trudno jest powiedzieć czy to z winy samych poetów, którym się zarzuca odejście od człowieka, czy należy zapisać to na karb elitarności poezji wymagającej zbyt wiele od odbiorcy, czy wreszcie winić ducha czasu objawiającego się w innych mediach. Można oczywiście kroczyć wśród epigonów i „podoać się” mało wybrednemu audytorium, ale to nie każdego zadawało. Oryginalność i nowatorstwo są zawsze trudne i ci, którzy im hołdują, płacą wysoką cenę w postaci braku zrozumienia i popularności. Nie mniej stanowią one wyzwanie raz po raz podejmowane. Nie inaczej było z poetami londyńskimi, o których mowa. Zarówno ich niegodzenie się z zastanym, jak i brak pisarskiego doświadczenia i w rzeczy samej nikły dorobek oraz zbyt schematyczne określanie swojej postawy, sprawiły, że byli w swoim czasie celem ataków starszych pisarzy.

Potykał się z nimi solidnie w polszczyźnie osadzony **Zygmunt Nowakowski** (1891-1963). Nie rozumiał rozterki młodych w wyborze języka. Pasował ich łaskawie na biegłych praktyków przewidując, jak się miało okazać, trafnie, że mimo odgrazania się, przy języku polskim pozostaną. Natomiast **Jan Rostworowski** (1919-1975), poeta popularny, którego lubiane wiersze zapełniały sale, zgłosił zasadniczy sprzeciw. Dla niego już sama myśl, samo podawanie w wątpliwość sensu tworzenia na uchodźstwie w języku polskim, było herezją. Jego schronienie się w mowie, którą znał znakomicie, było szczęśliwsze od sytuacji młodych, ciągle jeszcze terminatorów, których wabiły różne perspektywy i nęciły szanse na opanowanie bardziej przydatnego języka.

Jan Rostworowski był znacznie od Zygmunta Nowakowskiego młodszy i wiekiem i wykształceniem zbliżony do grupy młodych poetów. Nie dostrzegał jednak ich problemu, jaką była niezgoda na tematykę i formę pisarstwa starszych kolegów. Widział w niej po prostu chęć odejścia od człowieka, w tym wypadku od człowieka emigracyjnego i ochotę służenia sztuce dla sztuki. Dziwił się, że młodzi, którzy w lwiej części nie posiadali biografii wojennej, zainteresowani byli tematyką odmienną i przewrotnie lekceważyli symbole swoich ojców, którzy dopiero co wyszli, dotkliwie doświadczeni, z kataklizmu wojennego. Zawieszeni między niemożnością podążania wydeptaną ścieżką a dramatem przypisania do języka pozbawionego konkretów i rzeczywistości, którą wyrażała, jasno widzieli swoją niepewną przyszłość. Chcieli



wyść na pisarzy, mierzyli wcale wysoko nie mogąc liczyć na czytelnika, który im będzie towarzyszył, odrzucali równocześnie epigoństwo i twórczość okolicznościową, pisarską polonijność w sensie zamkniętych horyzontów, taryfy ulgowej i braku ambicji.

Rostworowski dostrzegał jedynie odżegnywanie się od losu grupy wychodźczej dla pustego hołdowania czystej twórczości. Dlatego przepowiadał „palec piszący na ścianie 'mane tekel fares' ich artystycznej porażki”. Dziwiło go, że młodzi nie przewidywali sukcesów, że spodziewali się pustki. Sami ją wytworzyli i dlatego byli dla niego ludźmi osobliwymi, trochę z innej planety, ludźmi, którzy znaleźli się mimo woli w skomplikowanej sytuacji.

*Wolność mają. Wolność - że zapożyczę się u Miłosza - przed strachem zniewolonego umysłu. I to ich tu trzyma. Na jak długo? Trudno przewidzieć. Może dopóty, dopóki strach przed próżnią nie okaże się silniejszy niż strach przed zniewolonym umysłem.*

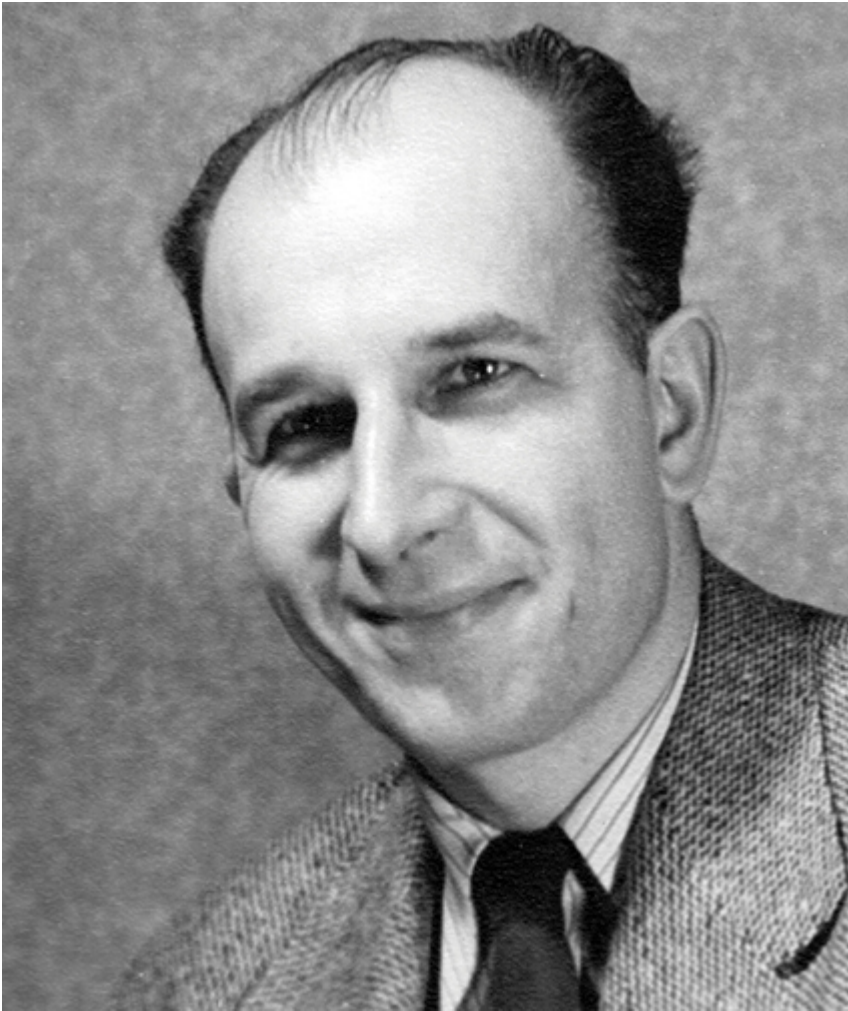
Taki los przepowiadał wiele lat temu poeta wówczas mocno osadzony na emigracji, wzięty i celebrowany liryk. Czy później miał jakieś wątpliwości, co do swojej prognozy? Bo „strach przed próżnią” okazał się jednak słabszy. Młodzi, o których pisał tak namiętnie, postarzelali się na emigracji, za to Rostworowski wrócił do Polski. Wyroki przyszłości są niezbadane, ale prywatne decyzje zasługują na szacunek. W cytowanym już artykule (Haracz wolności, *Tydzień Polski*, 11.03.1961) poeta krakowski pomówił nas ponadto, że uciszyliśmy w sobie „teologiczny dialog” i że przelewamy „z pustych serc w próżną formę”. Dlatego, zdaniem autora, z tym bagażem nie wnijdziemy do Królestwa.

Wyrokowanie o zbawieniu bliźniego jest czynnością pochopną. Chcę wierzyć, że także w tym wypadku nasz krytyk nie będzie miał ostatniego słowa.

---



# Poezja na emigracji



Aleksander Janta Połczyński, źródło: kulturadostepna.pl

**Florian Śmieja** (*Mississauga, Kanada*)

**Aleksander Janta Połczyński** (1908-1974) prowadził w Nowym Jorku antykwariat druków słowiańskich wraz z Aleksandrem Hertzem (1895-1983). Zobaczywszy na ich półkach antologię "Opisanie z pamięci", wybór wierszy młodych londyńskich poetów emigracyjnych, spytałem o cenę. Dziesięć dolarów wydało mi się ceną zbyt wygórowaną. - To niech mi pan dostarczy egzemplarzy - ciągnął niespeszony Janta.

Antologia została sporządzona i wydana w czasie chwilowej odwilży w Polsce. Po ukazaniu się, zamiast w sprzedaży wylądowała w piwnicach Domu Książki. Kilka lat później odwiedzałem Katowice, kiedy akurat w "przecenie" pojawiła się nieszczęsna antologia. Nabyłem wszystkie 40 egzemplarzy na składzie i przewiozłem do Kanady.

Posłałem sygnał do Nowego Jorku. Janta oferował już skromniejszą cenę, ale zakupił dziesięć sztuk, a ja za te dwadzieścia pięć dolarów przywiozłem sobie ze Stanów mały aparat radiowy, który dotąd działa.

\*\*\*



Marian Czuchnowski, źródło: oficyna21.pl

Kontrowersyjnego między wojnami poetę **Mariana Czuchnowskiego** (1909-1991) nieraz spotykałem w Londynie w drukarni "Oficyna Poetów i Malarzy" Czesława i Krystyny Bednarczyków pod przęsłem mostu kolejowego Waterloo. Zatrudniali go do falcowania i innych prac związanych z produkcją czasopism i książek. Nieśmiały i przygaszony, zagubiony i zapracowany nie skarżył się na ciężki los robotnika w obcym kraju. Dla młodszych od siebie był człowiekiem bez przeszłości, nie znaliśmy jego literackich sukcesów i nie czytaliśmy najlepszych utworów. Tylko po łebkach dowiedzieliśmy się o jego młodzieńczym radykalizmie, a potem o ciężkich przejściach

w czasie zsyłki do ZSRR, gdzie stracił swoje iluzje raz na zawsze. Z armią Andersa przeszedł na Bliski Wschód.

Był podwójnie wyobcowany: z dawnych przekonań politycznych i ze środowiska awangardzistów. Postradał wiarę w wyznawaną dotąd ideologię będąc świadkiem inferna sowieckiego. Potem odrzucił kuszenie uprzywilejowanych towarzyszy wśród których mógł być zostać dygnitarzem w PRLu i pędzić dostatnie życie, ale wybrał mizериę emigracyjnego tułactwa i ubóstwo. Los nie szczędził mu osobistych tragedii. Opowiadał mi kiedyś w drukarni jak opiekował się umierającym ojcem i podawał mu uśmierzającą ból morfinę. Chętnie i szczerze służył swoimi tekstami naszemu piśmuisympatyzując z młodym idealizmem.

\*\*\*

W czytelni British Museum w Londynie poznałem **Jana Rembielińskiego**, międzywojennego redaktora i prezesa Młodzieży Wszechpolskiej, a z zamiłowania historyka. Siedział nad pismami Długosza. Chodziłem z nim na niedrogie obiady do restauracji Lyonsa. Delektował się starymi słowami takimi jak "skotopaski" zamiast sielanki czy bukoliki, które akurat tłumaczyłem z łaciny Wergiliusza. Mówił mi z upodobaniem o Polsce piastowskiej (wyszedł tylko pierwszy tom jego „Historii Polski. Średniowiecze” w 1948 roku) i wczesnej monecie na której było słowo "miłość".